

# Dekameron, Prolog



GIOVANNI BOCCACCIO

DEKAMERON

# Prolog

TŁUM. EDWARD BOYÉ

*Zaczyna się księga Dekameron, w której zawiera się sto nowel, opowiedzianych przez siedem białogłów i trzech młodzieńców*

Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych; jeśli jest ono każdemu właściwe, to tym bardziej winno być znane człekowi, co sam, litości potrzebując, od drugich jej doznawał. Należę do liczby tych, którzy w potrzebie przyjaźni się nurzają, uczucie to wielce sobie cenią i niejedną miłą chwilę mu zawdzięczają. Od najwcześniejszych lat mojej młodości aż po dzień dzisiejszy szlachetną i wzniosłą miłością jestem ożywiony, bardziej może — gdybym chciał o tym opowiadać — niżby tego niska moja kondycja oczekiwać pozwalała. A chociaż zyskiwałem pochwały i estymę ludzi pełnych ogłady, co o tych sprawach zasłyszeli, to przecież wiele srogięgo bólu miłość ta mi sprawiła; przyczyną jego było jednakże nie okrucieństwo miłowanej damy, lecz zbyt ni ogień mojej duszy, trafionej niepowściągliwym *appetitem*<sup>1</sup>. Żądze te nie pozwalały mi się kontentować tym, co posiadałem, i przyczyniały mi więcej boleści, niżby należało. Wśród tych wielkich cierpień rozmowy z jednym z moich przyjaciół i pociechy od niego doznawane były dla mnie wsporem, bez którego z pewnością bólu mego bym przeżyć nie mógł. Jednakże według niezmiennego prawa, ustanowionego zrzędzeniem Tego, kto sam jest nieskończony, każda ziemska sprawa koniec swój mieć musi; tak się też stało z moją, nazbyt płomienną namiętnością, której ani zdrowy rozsądek, ani żadna rada, ani myśl o czekających na mnie niebezpieczeństwach i sromie przełamać i zwyciężyć nie mogły; dopiero wszechmocna siła czasu powoli ją przytłumiała, tak iż dzisiaj ostało po niej jeno<sup>2</sup> uczucie ukontentowania, znane każdemu, komu obcy jest azard<sup>3</sup> puszczenia się na burzliwe namiętności odmęty. Ciężko mi było na duszy, aliści<sup>4</sup> ból minął i ostały mi się tylko miłe wspomnienia.

Boleść szczała, lecz żyje i do grobowej deski trwać będzie pamięć o dobrodziejstwach, okazanych mi przez tych, co gwoli litości, odczuwanej dla mnie, moim cierpieniem cierpieli. Nie ma, według mego zdania, szlachetniejszego uczucia niżli uczucie wdzięczności. Zasługuje ono na najwyższą pochwałę, gdy przeciwnie, jego brak godzien jest jeno wzgardy. Wdzięcznością powodowany, chciałbym w miarę sił moich w zamian za to, co otrzymałem, teraz gdy już swobodny jestem, pewne ulżenie sprawić, jeśli już nie tym, co mi dobrodziejstwa okazowali i którzy, być może, dzięki swej rozwadze lub szczęściu usług mych nie potrzebują, to przynajmniej tym, którym się one na coś zdadzą. A chociaż moja pomoc i współ<sup>5</sup> niewielkimi by się okazały, wszakoż, zgodnie z swym mniemaniem, winienem je nieść tam, gdzie się na nie najbardziej czeka i gdzie przez to lepiej ocenione będą i większą korzyść przyniosą. Któż zaprzeczyć może, że z taką pociechą obracać się należy do pięknych dam, którym bardziej niżli mężczyznom jest ona potrzebna? One to, strachając się i wstydząc, w swej delikatnej piersi płomienie miłosne skrywają. O ile zaś ów skryty płomień silniejszy jest od jawnego, wiedzą o tym ludzie, co go doznali. Posłusz-

Zmysły, Cierpienie

Kobieta, Melancholia,  
Mężczyzna, Pozycja  
społeczna

<sup>1</sup>*appetit* — dziś popr. pisownia: apetyt. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*azard* a. *hazard* — tu daw.: ryzyko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*aliści* (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*wspór* — wsparcie. [przypis edytorski]

ne woli i rozkazaniu ojców, matek, braci i mężów, całe dnie w zamkniętych komnatach jak gdyby na próżnowaniu trawia. Chcąc czy nie chcąc, o wielu rzeczach myśleć muszą, a przecie myśli te nie zawsze wesołymi się okazać mogą. Niejednokrotnie próżne pragnienia do ciężkiej melankolii damy te przywodzą; jeśli się jej miłą rozmową nie rozproszy, w ciężkie strapienie może się łatwo<sup>6</sup> przemienić.

Nietrudno się przekonać, że u mężczyzn, którzy miłują, to się nie zdarza; gdy ich bowiem melankolia i przykre myśli ogarną, dość mają na to środków, aby się rozweselić i ulgę znaleźć. Mogą pójść, gdzie chcą, usłyszeć i obaczyć to, na co chęć mają, polować, ryby łowić, jeździć konno, grze lub handlowi się oddawać. Każde z tych zajęć może umysł zająć i choćby na czas pewien smutne myśli rozproszyć; później tą lub inną drogą przyjdzie pociecha i boleść szczerze.

Los niesprawiedliwie postąpił skąpiąc podpory tam, gdzie sił jest niedostatek, tak jak to widzimy na przykładzie słabych niewiast. Chcąc tedy<sup>7</sup> choćby w części ten błąd fortuny naprawić i pomoc tym damom, które miłość poznały, okazać (dla pozostałych wystarczą igły, wrzeczona i krosna), zamyslałam powtórzyć sto nowel, bajek albo przypowieści, jak je pospolicie nazywają, opowiedzianych w ciągu dziesięciu dni przez znaczne grono siedmiu dam i trzech młodzieńców, gdy we Florencji niedawny mór się srożył; przypomnę także kilka pieśni, śpiewanych dla rozrywki przez te białogłowy.

W nowelach mych zawierają się różne ucieszne i smutne przypadki miłosne, a także inne zdarzenia przeszłych i dzisiejszych czasów. Damy, które je czytać będą, ukontentowanie z opisanych wypadków odniosą i otrzymają dobrą radę, czego unikać należy i za czym iść trzeba. Mniemam, że jedno i drugie nudy im nie przyczyni, przeciwnie, odegnają całkiem. Jeżeli tak się stanie (co oby Bóg sprawić raczył), to niechaj czytelniczki moje złożą dank<sup>8</sup> Amorowi, który mnie z pęt swoich oswobodził i dał mi przez to możliwość podjęcia trudu, co radość ich ma na celu.

## PROLOG

*Zaczyna się pierwszy dzień Dekameronu, w którym po wyjaśnieniach autora, dla jakiej przyczyny osoby, mające następnie wystąpić, zebrały się tutaj i gawędzą razem, pod przewodnictwem Pampinei rozprawia się o tym, co każdemu najbardziej przypada do smaku.*

Ilokrotnie, miłe damy, pomyślę o wrodzonym wam współczuciu, zaraz wystawiam sobie, że dzieło niniejsze będzie miało dla was smutny i przykry początek. Zaczyna się ono bowiem od wspomnienia morowej zarazy, strasznej i żalostnej dla każdego, kto był jej świadkiem albo też jakimkolwiek sposobem o niej uznał. Nie chciałbym jednak, abyście przeraziły się, nim czytać poczniecie, i pomyślały, że przez cały czas czytania płakać i wzdychać będziecie. Niechajże ów smutny początek będzie dla was tym samym, czym dla wędrowców stroma i spadzista góra, za którą skrywa się miła i piękna równina. Im trudniejsze było wejście i zejście, tym słodsze jest później odetchnienie.

Nieskończona radość boleścią się kończy, a po boleści znów radość nastaje. Po tym krótkotrwałym smutku (mówię krótkotrwałym, bowiem w niewiele słowach on się wyraża) wkrótce nastąpi wesele i radość, które wam już przyobiecałem. Bez stosownego uprzedzenia, po tak posępnym początku, nie mogłybyście wrożyć sobie później jakiegokolwiek ukontentowania. Gdyby to możliwe było, powiódłbym was tam, gdzie chce, całkiem inną drogą niż tą kamienistą ścieżką. Aliści, nie dotknąwszy tego wspomnienia, objaśnić bym wam nie mógł, jakim sposobem zdarzyły się te rzeczy, o których czytać będziecie; zatem k'temu<sup>9</sup> konieczność mnie czysta przywodzi.

Powiem więc, że w roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa, sprowadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych. Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się

<sup>6</sup>latwie — dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>k'temu (daw.) — do tego. [przypis edytorski]

przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować, ani też pokorne modlitwy, procesje i wszelkie pobożne dzieła.

Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić. Choroba nie objawiała się u nas tak jak na Wschodzie, gdzie zwykłym znamieniem niechybnej śmierci był upływ krwi z nosa. Zaczynała się ona równie u mężczyzn, jak u kobiet od tego, że w pachwinach i pod pachą pojawiały się nabrzmienia, przyjmujące kształt jabłka albo jajka i zwane przez lud szyszkami. Wkrótce te śmiertelne opuchliny pojawiały się i na innych częściach ciała; od tej chwili zmieniał się charakter choroby: na rękach, biodrach i indziej występowały czarne albo sine plamy; u jednych były one wielkie i rzadkie, u drugich skupione i drobne. Na chorobę tę nie miała środka sztuka medyczna; bezsilni byli też wszyscy lekarze. Możliwą jest rzeczą, że przyrodzenie<sup>10</sup> choroby już takim było, albo też, że lekarze nic nie wiedzieli. Medyków wówczas pojawiło się siła<sup>11</sup>, tak mężczyzn jak i kobiet, nie mających, mówiąc po prawdzie, najmniejszego pojęcia o medycznym kunszcie. Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny choroby ani znaleźć na nią stosownego remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych udzielała się łatwo zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Aliści zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiegokolwiek rzeczy, którą miał w ręku, aby się zarazić. To, o czym teraz powiem, może się wydawać rzeczą zadziwiającą. Gdybym jej na własne oczy nie widział i gdyby nie świadectwo wielu, sam bym jej nie dał wiary ani poważylbym się jej tu opisywać. Siła zarazy była tak wielka, że przenosiła się ona nie tylko letko<sup>12</sup> z jednego człeka na drugiego, ale i tak bywało, że jeśli do przedmiotu, stanowiącego własność chorego, zbliżyło się jakieś zwierzę, zaraz mór się go chwycił i w krótkim czasie je uśmiercał. Jakem to już nadmieniał, sam byłem takiego przypadku świadkiem. Strzępy odzieży pewnego nieboraka, zmarłego z powodu tej choroby, na ulicę wyrzucone zostały. Do szat podeszły dwie świni i jęły<sup>13</sup> je, wedle swego obyczaju, ryjami i zębami poruszać. Nie minęła ani godzina, a zwierzęta, jakby trucizny się najadły, zatoczyły się i padły nieżywe. Wypadki te wzbudziły w umysłach nieopisaną trwogę i napęliły je różnymi wyobrażeniami. Wszyscy bezlitośnie tylko o to się starali, aby społeczeństwa z chorymi unikać. To zdawało się powszechnie jedynym ocalenia sposobem. Niektórzy mniemali, że strzeżliwość przeciwko zarazie zabezpieczyć może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. Jadali letkie potrawy, pili powściągliwie wyborne wina i chuciom cielesnym nie folgując, czas swój na muzyce i innych dostępnych im przyjemnościach trawili dla zapomnienia o zarazie i śmierci, o których ani słyszeć nie chcieli.

Inni zaś<sup>14</sup> całkiem przeciwnie postępowali twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajając i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

Tak też i czynili. Dzień i noc włóczyli się po oberżach, pili na umór, a częściej swywolili w cudzych domach, opuszczonych przez prawych właścicieli, tak iż każdy mógł je zajmować rządząc się tam do woli. Jednakowoż i ci, raczej do zwierząt niżli do ludzi podobni, unikali skrzętnie obcowania z zarażonymi. Wśród takich opresyj i takiej żądzy osłabła, a nawet całkiem szczyła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to poumierali, bądź chorzeli albo też tyłu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopełniać nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał. Wielu ludzi wybrało sobie sposób życia pośredni między tymi dwoma, o których już nadmieniałem. Ci nie ograniczali się w jadle, na podobieństwo pierwszych, nie pili i rozpuścić

Choroba, Upadek

Zapach

<sup>10</sup>przyrodzenie (daw.) — tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>letko (daw. a. gw.) — lekko. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>zaśię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

się nie oddawali, żyli jeno<sup>15</sup> zgodnie z swym gustem a życzeniem. Nie zamykali się w domach, ale chodzili wszędzie, nosząc w rękach kwiaty, zioła pachnące i różne korzenie, które do nosa przykładali, w mniemaniu, że podobne zapachy siły żywotne w nich skrzepią. Powietrze w tym czasie było bowiem ciężkie, gęste i nasiąkłe smrodem gnijących trupów, wyziewami chorych i lekarstw.

Inni wreszcie, bardziej nieużycki i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej. Myśląc tylko o sobie, siła<sup>16</sup> mężczyzn i kobiet opuściło miasto, domy, majątności, krewniaków i przeniosło się do posiadłości swoich, za bramami grodu leżących, albo też u ludzi obcych schronu szukało. Mniemali widocznie, że gniew Boga, karzącego ludzi za ich nieprawość, osiągnie tylko tych, co w obrębie miasta pozostaną, innych zaś<sup>17</sup> oszczędzi, tak jakby cała ludność miasta na zagładę skazana została i jakby dla niej ostatnia godzina wybiła. Wprawdzie pomarli nie wszyscy z tych, co podobne mniemania żywili, ale i nie wszyscy zarazę przeżyli; owszem, pośród wszystkich tych stronnictw choroba szerzyła się srodze. Liczni, gdy się jeszcze zdrowiem cieszyli, opuszczali w niedoli swoich krewniaków i przyjaciół i tym dawali przykład drugim, którzy gdy na nich kolej przyszła, to samo czynili, zdając bliskich na pastwę losu. Gdyby to jeszcze sąsiad sąsiada bez pomocy ostawiał, gdyby tylko znajomi i krewniacy wystrzegali się wzajemnych odwiedzin! Niestety, powszechna klęska taką trwożę w umysłach mężczyzn i kobiet sprawiała, że brat opuszczał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a często nawet żona męża swego. Gorzej jeszcze, że ojcowie i matki ostawiali dzieci swoje nie troskając się o nie zupełnie, tak jakby obcymi im były. Wielu spośród mnogich mężczyzn i białogłów, dotkniętych zarazą, mogło tylko u kilku tkliwych przyjaciół albo też u sług najętych pomocy szukać. Słudzy ci, chciwością powodowani, otrzymawszy wielką zapłatę, mieli pieczę nad chorymi. Aliści i takich niewielu znaleźć można było; byli to przy tym ludzie grubi i z podobnymi posługami wobec chorych wcale nie obeznani. Umieci jeno podać czasem to, czego chory żądał, a także po śmierci przybrać go do trumny. Zgarniali wielkie zyski, ale i sami umierali.

Skutkiem tego, że chorych opuszczali krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi i że sług dostać nie można było, weszła w obyczaj rzecz dotąd niesłychana: białogłowy, choćby najpiękniejsze i z najlepszych rodów idące, nie wzdrażyły się, zachorowawszy, mężczyzn do posług przyjmować, nie wchodząc w to, czyli są starzy, czy też młodzi, i obnażały przed nimi najwstydlivsze części ciała swojego. Może być, że te, które później do zdrowia przyszły, z zwyczaju tego pobudkę do rozpusty wzięły. Siła umarło z tych, co gdyby pieczę nad sobą mieli, ani chybi by wyzdrowieli. Przy braku opieki i przy gwałtownym szerzeniu się zarazy codziennie tyle narodu ginęło, że strach i zgroza brała nie tylko świadków, ale i tych, co o tym słyszeli.

Pośród ludzi przy życiu pozostałych pojawiło się wiele nowych obyczajów, całkiem przeciwnych do tych, co dawniej istniały. Dotychczas zwyczajem było, że w domu zmarłego zbierały się krewniaczki i sąsiadki, które go pospołu z domownikami oplakiwały; przed domem zaś<sup>18</sup> skupiali się przyjaciele i sąsiedzi oraz liczni współobywatele; do nich później, według godności zmarłego, dołączało się duchowieństwo. Zebrani brali mary na ramiona i ze śpiewem, przy blasku gromnic, zwłoki odprowadzali do kościoła, który zmarły wybrał był przed zgonem. Gdy tylko mór się pojawił, obyczaje te zanikły ustępując miejsca nowym. Umarłego nie tylko ciżba niewiast nie otaczała, ale niejedyn człek samotnie z tego świata schodził, nie będąc żegnany łzami i wzdychaniami swoich krewniaków. Miast szlochów rozbrzmiewały żarty, śmiech i wesołość na stypach.

Nowy ten obyczaj zwłaszcza dbałym o swe zdrowie białogłowom do smaku przypadł, zadając kłam ich płci tkliwości. Rzadko się zdarzało, aby szczątki doczesne przez więcej niż dziesięć albo dwanaście osób do kościoła odprowadzane były. Orszak żałobny składał się przy tym nie z czcigodnych mieszczan, lecz z zwykłych grabarzy, którzy zwali się służbą moru i za zapłatą pracowali. Ci, trumnę jak najspieszniej pochwywszy, nieśli ją zazwyczaj do najbliższego kościoła, a nie tam, gdzie zmarły pragnął, aby nad jego ciałem modły odprawiono. Czterech albo sześciu księży, z zapalonymi świecami, a czasem

Obyczaje

<sup>15</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>siła (daw.) — dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

i bez nich, odprowadzało zwłoki do pierwszej napotkanej mogiły i powierzało je ziemi bez zbytnich modłów. Los ludzi ubogich, a nawet tych, co w miernym dostatku żyli, godzien był najżywszej litości. Ci, pozostawszy z powodu ubóstwa albo też z przyczyny ufności, jaką w miłosierdziu bożym pokładali, w domach swoich, wpośród sąsiadów, tysiącami co dnia ulegali chorobie, a nie zaznając znikąd żadnej pomocy ginęli bez ratunku. Wielu dniem i nocą na ulicach padało, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadawali. Znaczna część mieszkańców, bądź to z obawy zarażenia się, bądź też z miłosierdzia dla zmarłych, przyjęła obyczaj wynoszenia zwłok przed dom własnymi rękami czy też przy pomocy grabarzy; kładli je przed progiem, tak że w tych miejscach, zwłaszcza rankiem, niezliczoną ilość zwłok obaczyć można było. Później przynoszono mary, a gdy ich brakło, proste deski; zdarzało się, że na jedne mary dwa albo trzy trupy kładziono, tak iż często można było obaczyć zwłoki męża obok zwłok żony, szczątki dwu albo trzech braci, trupa ojca pospołu z trupem syna leżącego. Za dwoma księżmi, niosącymi krzyże, trzy albo cztery mary niesiono. Duchowni, którzy sądzili, że tylko jednego zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku wiodą, przy grzebaniu sześciu albo ośmiu trupów musieli być przytomni<sup>19</sup>. Umarłym nie okazywano czci nijakiej, nie odprowadzano ich do grobu z zapalonymi pochodniami ani też nad nimi łez nie roniono. Wreszcie k'temu<sup>20</sup> przyszło, że równie o umarłych się troskano, co o zdechłe kozy. Jawnym się wówczas stało, że powszechna niedola uczy nawet głupców cierpliwie poddawać się losowi, czego w zwykłych czasach ludzie najmądrzejsi, małymi tylko przeciwieństwami nękanii, nauczyć się nie są w stanie. Gdy z powodu mnogości trupów na cmentarzach poświęconej ziemi nie stało, tak iż nie lza<sup>21</sup> już i myśleć było, aby każdy zmarły miał swoją mogiłę, poczęto kopać głębokie jamy, w które trupy setkami jedne na drugie rzucano na kształt towarów na okręcie. Zwłoki ledwie cienką warstwą ziemi przysypywano, póki jama po brzegi się nie napelniła.

Nie będąc się zbyt szerszy<sup>22</sup> nad szczegółami tej niedoli, co nasz gród dotknęła; powiem jeno<sup>23</sup>, że zaraza nie mniej rozszerzyła się po miejscowościach okolicznych. Nie wspominam o zamkach, bowiem te do małych grodów podobieństwo mają, chcę natomiast powiedzieć o wsiach, gdzie nieszczęśliwi kmiecie wraz z rodzinami, pozbawieni pomocy medyków i jakiegokolwiek pieczy, marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydłeta. We wsiach nastąpiło to samo, co i w miastach, a więc obyczajów rozwiązłość i brak dbałości na obowiązki swoje i sprawy. Ludzie jakby na śmierć każdego dnia czekali i dlatego też nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól, do utrzymywania trzód i dobytku swego; przeciwnie całkiem, starali się roztrwonić plody swej pracy.

Doszło do tego, że woły, osły, owce, kozy, świnię, kury, a także najwierniejszych przyjaciół czleka, psy, wyganiano z obejścia, tak iż zwierzęta wałęsały się po polach, gdzie nie żęte żyto przepadało. Niektóre bydłeta, napasłszy się do syta na opuszczonych polach, wieczorem bez pomocy pastucha, niby rozumne istoty do swych stajen i obór powracały.

Ale ostawmy już wsie okoliczne i do miasta powróćmy. Tutaj z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło. Ginęli od strasznej zarazy, a także z braku pieczy i pomocy, skąpanej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że w Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ile w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkałych, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!

Ileż to świetnych rodów, nieprzejrzanych bogactw i skarbów bez dziedziców ostało! Iluż dzielnych mężów, urodziwych kobiet i młodzieńców, których by Eskulap, Gallen i Hipokrat za obraz kwitnącego zdrowia, ani chybi, poczytali, rano jeszcze obiadowało w społeczności swych przyjaciół i krewniaków, zaś<sup>24</sup> nazajutrz już wieczerało pospołu

<sup>19</sup>przytomny (daw.) — obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>20</sup>k'temu przyszło (daw.) — do tego doszło. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>szerszyć się — tu: rozwozić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>zaś (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

z swymi zmarłymi przodkami. Ciężko mi jest na sercu, kiedy błędę myślą pośród tej okrutnej niedoli, dlatego też wszystko, co mogę, milczeniem pokrywę.

A owóz w tym czasie, gdy gród nasz prawie całkiem opustoszał (słyszałem o tym później od człeka godnego wiary), zdarzyło się, że we wtorek rano, w starożytnym kościele Santa Maria Novella siedem młodych kobiet się zeszło. Wysłuchały mszy w szatach żałobnych, jakie przystały chwilom takim. Krom nich nikogo bez mała w kościele nie było. Damy te więzami pokrewieństwa, przyjaźni i sąsiedztwa zbliżone do siebie były. Żadna z nich jeszcze dwudziestego ósmego roku życia nie ukończyła, najmłodsza zaś ledwie osiemnaście lat liczyła. Były to białogłowy szlachetnej krwi, dobrych obyczajów, roztropne, skromne i wdzięczne. Nazwisk ich tutaj nie wymienię, nie chcę bowiem, aby się w przyszłości wstydzić miały za rzeczy, które opowiadały czy też słuchały ich. Obyczaje teraz sroższe nastąpiły i nie lza<sup>25</sup> już zażywać uciech i rozrywek, które podówczas dozwolone były nie tylko osobom w ich wieku, ale i starszym o wiele. Nie chciałbym także dać sposobności ludziom zawistnym (gotowym oczernić najniewinniejszego!), aby swymi niesprawiedliwymi posądzeniami mogli dobrą sławę tych białogłów splamić. Aby jednak omyłek uniknąć, pragnę nazwać je imionami, stosownymi do ich natur. Pierwszą, latami starszą, przezwiemy Pampinę, drugą — Fiammettą, trzecią — Filomeną, czwartą — Emilią, piątą niechaj się zwie Laurettą, szóstą Neifile, siódmą zasię, nie bez przyczyny, Elizą zwać będziemy. Tych siedem niewiast, bez żadnego poprzedniego ułożenia, zeszło się trafunkiem w kościele. Usiadły wkoło, wzdychały długo, a później, skończywszy modlitwy, jęły<sup>26</sup> mówić dużo o tym, co się dzieje. Po jakimś czasie, gdy wszystkie umilkły, Pampinea z takimi słowy do nich się obróciła:

— Drogie przyjaciółki! Wiecie równie dobrze jak ja, że nikomu tego naganiać nie można, iż uczciwie praw swoich używa. Każdy, co na świat przyszedł, ma naturalne prawo podtrzymywać i ochraniać życie swoje. Uznają to wszyscy tak dobrze, że jeszcze nikomu, jeżeli w obronie własnej drugiego zabił, za występki tego nie poczytano. Jeżeli zaś prawa, dla dobra ludzi ustanowione, takie rzeczy czynić pozwalają, o ileż więcej wolno nam być winno użyć wszelkich środków dla ochrony życia naszego? Gdy pomyślę o tym, cośmy robiły dzisiaj i w dni poprzednie, gdy wspomnę nasze rozmyślenia i rozmowy, widzę jawnie, że każda z nas drży o życie swoje. Nie ma w tym, wierę<sup>27</sup>, nic dziwnego! Dziwuję się jeno<sup>28</sup>, że my, białogłowy, nie przyjęłyśmy dotychczas stosownych miar w stosunku do rzeczy, co naszą trwogę tak powodują. Zdaje mi się, iż pozostajemy tu tylko dlatego, aby liczyć, ilu umarłych na cmentarz niosą, i patrzeć, czy bracia z tego klasztoru, których niewielu już pozostało, dobrze służbę bożą w właściwym czasie pełnią, albo też po to, by żałobą naszych szat wszystkim ukazywać, ile i jakich nieszczęść nas spotkało. Gdy stąd wyjdziemy, znowu, obaczymy chorych i umarłych, co ich ze wszystkich stron niosą, ujrzemy także różnych łotrzyków, których z miasta za ich zbrodnie wygnano, a którzy, teraz jawnie z praw szydząc, skoro ich strażnicy martwi albo chorzy leżą, zuchwale po mieście się uganiają. Obaczymy również pospólstwo, naszą krwią utuczone, i owych posługaczy moru, wałęsających się wszędzie i bezwstydnymi pieśniami śpiewających. Słyszymy tylko o tym, że ten lub ów umarł, a tamten ze śmiercią się pasuje. Gdyby było jeszcze komu płakać, powszędę rozlegałyby się szloch i jęki. Gdy zasię<sup>29</sup> powracamy do domu i widzimy, że z całej rodziny przy życiu jeno służka ostała, taki strach za gardło chwyta, że włosy na głowie się podnoszą. Dokądkolwiek bym nie poszła, wszędzie mnie cienie zmarłych gonią, w kształtach swoich odmienione, z przerażającymi pozory<sup>30</sup>, które nie wiem, skąd się u nich wzięły. Dlatego też w domu, tutaj i wszędzie ciężko mi jest na duszy, zwłaszcza że, jak mi się zdaje, krom<sup>31</sup> nas nie ma już tu człeka, w którym by trochę siły żywotnej ostało. Słyszałam i widziałam, jak często ludzie (nie wiem, czy jeszcze są przy życiu) tracają wszelką różnicę między rzeczą obyczajną a bezecną i jedynie swoim pragnieniem się powodując, dniem i nocą to jeno czynią, na co ochotę mają. Robią to nie tylko ludzie

<sup>25</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>z przerażającymi pozory — dziś popr. forma N. Im: z przerażającymi pozorami; pozory — tu daw.: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

świeccy, ale i zakonnicy. Przekonani, że nie jest wzbronione im to, co innym dozwolone być może, znieważają śluby swoje, chuciom swoim folgują i myślą tym kształtem życie swoje ocalić. Jeżeli zaś w samej rzeczy tak się dzieje, cóż my tu czynimy, na co czekamy, o czym myślimy, dlaczegoż niedbalej od innych o utrzymanie życia naszego zabiegamy? Zaliż<sup>32</sup> gorszymi być się mniemamy<sup>33</sup> czy też sądzimy, że życie do ciał naszych silniejszym łańcuchem niż u innych jest przytwierdzone, tak iż obawiać się o nie wcale nie trzeba? Wierę<sup>34</sup>, w srogim błędzie byśmy byli, bowiem myśleć tą modłą tylko głupiec może. Zważmy, ilu młodzieńców i kobiet od srogiej zarazy zginęło, a obaczmy w tym najlepszy dowód naszego błędnego mniemania. Dlatego też, abyśmy, dzięki naszej niedbałości, nie wpadły w gorszą biedę, której przecież uniknąć możemy, umyśliłam coś; nie wiem tylko, czy ten środek ratunku wam do smaku przypadnie. Mniemam, że najlepiej będzie uczynić to, co wielu już przed nami czyniło i ani chybi, potem uczyni, to jest, miejsca te opuścić. Na równi ze śmiercią unikać będziemy przykładów bezwstydných, jeno po prostu z miasta wyjdziemy i udamy się do którejkolwiek z naszych wiejskich posiadłości, gdzie wśród wesela i rozrywek, granic obyczajności nie przekraczając, żyć poczniemy. Rozlegają się tam radosne ptasząt śpiewy; ujrzymy zielone szczyty i doliny, pola, na których jak morze kołyszą się zboża, a także drzewa różnorodne i niebo odkryte; chociaż się ono i na nas zagniewało, przecie nie skąpi nam przez to swej wiecznej krasy; trzeba przyznać, że milej będzie wpatrywać się weń niż patrzeć na puste domy naszego grodu. Krom<sup>35</sup> tego powietrze tamtejsze czystsze jest, a co się tyczy żywności, to znajdziemy tam jej teraz więcej, a przykości o wiele mniej niż tutaj. Prawda, że kmiecie podobnie jak mieszczanie umierają, jednakowoż mniej tam ludności i domów, dzięki czemu i mniej się trupów widzi. Przy tym, zdaje mi się, że nie opuścimy tu nikogo, bowiem raczej powiedzieć można, iż same opuszczone jesteśmy. Wszyscy, co nam bliscy byli albo umarli, albo też uciekając od śmierci, nas odbieżeli. Zaden wyrzut więc gryźć naszych sumień nie będzie, jeżeli zamysł swój wypełnimy, jeśli jednak się go wyrzeczemy, troska, cierpienie, a być może, i śmierć nas spotka. Tedy<sup>36</sup>, jeżeli się zgadzacie, weźmiemy z sobą służbę, opatrzymy się w rzeczy niezbędne i będziemy spędzały czas raz w jednym miejscu, to znów w drugim, weseląc się w miarę tego, jak nam okoliczności pozwolą; mniemam, że najrozumniejszym postępkim to się okaże. Będziemy wiodły takie życie, aż niebo nie położy kresu temu, co się teraz dzieje, chyba że śmierć nas wcześniej dopadnie. Sądzę, że oddalić się stąd jest lepiej niż tu pozostawać i żyć nieobyczajnie, jak to inni czynią.

Pozostałe damy, wysłuchawszy Pampinei, nie tylko zamiar jej pochwały, ale pragnąc go w czyn wcielić, jęły<sup>37</sup> myśleć nad wszelkimi szczegółami, tak jakby wprost z kościoła miały w drogę wyruszyć. Wówczas Filomena, nader roztropna białogłowa, w te słowa rzekła:

— Wszystko, co Pampinea powiedziała, jest rozumne, wielce, aliści<sup>38</sup> nie mamy potrzeby tak się śpieszyć, jak tego pragnąć się zdajecie. Zważcie, że wszystkie kobietami jesteśmy, a przecie i dziecku wiadome jest, że białogłowom trudno jest coś przedsięwziąć bez pomocy mężczyzn. Jesteśmy niestałe, bojaźliwe, uparte i podejrzliwe. Mniemam, że gdy same swoimi przewodnikami będziemy, to społeczność nasza długo trwać nie będzie. Musimy najpierw za jakimś przewodnikiem się rozejrzeć.

— Prawda jest — rzekła Eliza — mężczyźni są naturalnymi przewodnikami białogłów i bez nich rzadko jakiejkolwiek niewiast przedsięwzięcie do pomyślnego końca przychodzi. Ale gdzie mamy tych mężczyzn szukać? Wiadomo nam, że nasi najbliżsi prawie wszyscy pomarli lub też rozbiegli się w różne strony, uciekając nie wiedząc gdzie od klęski, od której i my salwować się chcemy. Przyzwoitość zabrania nieznanym zapraszać; zresztą miast<sup>39</sup> wesela i wczasu<sup>40</sup> wstyd i przykreść znaleźć byśmy mogły.

Kobieta, Mizoginia,  
Mężczyzna, Obyczaje

<sup>32</sup>zaliż (daw.) — czy, czy też. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>gorszymi być się mniemamy (daw.) — uważamy się za gorsze. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>wierę (daw.) — doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>aliści (daw.) — jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>miast (daw.) — tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>wczas (daw.) — odpoczynek, wypoczynek, rozrywka. [przypis edytorski]



Gdy damy tak z sobą rozmawiały, weszli do kościoła trzech mężczyźni. Nie byli to młodzieńcy, bowiem najmłodszy dwadzieścia pięć lat już liczył. Ani przeciwności tego czasu, strata przyjaciół i krewniaków, ani też lęk o życie własne nie zdołały w ich sercach ognia miłości przytłumić, a tym mniej zagasić.

Pierwszy z nich zwał się Panfilo, drugi — Filostrato, trzeci — Dioneo. Byli to ludzie krotochwilni<sup>41</sup>, ale i obyczajni. W powszechnym zamęcie jednej pociechy szukali: dam swoich, które trafunkiem znajdowały się pośród siedmiu białogłów, w kościele zebranych. Niektóre zaś z nich spokrewnione z trzema mężczyznami były. Pampinea ujrzawszy ich rzekła z uśmiechem:

— Los sprzyja, widać, naszym poczynaniom, przysłała nam bowiem rozumnych i układnych mężów, którzy naszymi przewodnikami i sługami będą, jeśli tylko na służbę przyjąć ich zechcemy.

Neifile, będąca przedmiotem miłości jednego z przybyłych, zarumieniwszy się z pomieszania, rzekła:

— Na Boga! Pampineo, zważ na to, co mówisz! Znam ich i wiem, że nic złego o nich powiedzieć nie lza<sup>42</sup>; poczytuję ich za zdolnych do znacznie ważniejszych przedsięwzięć niż to oto, a także upewniona jestem, że towarzystwo ich miłe by było każdym damom, piękniejszym i znacniejszym od nas. Rzecz jednak w tym, że niektórzy z nich, jak o tym wszystkim wiadomo, niektóre z nas miłują; obawiać się zatem trzeba, że skoro ich zaprosimy, bez ich ani naszej winy ludzie nas osławić mogą.

— Błahe są to sprawy — odparła Filomena — dopóki postępuję tak jak należy i dopóki sumienie mnie nie dręczy, niechaj każdy gada o mnie, co mu się podoba, Bóg i prawda będą po mojej stronie. Jeżeli tylko będą skłonni nam towarzyszyć, to powinniśmy radować się, jak to słusznie Pampinea zauważyła, że los naszym poczynaniom sprzyja.

Pozostałe damy, usłyszawszy te słowa, umilkły i zaraz postanowiły przywołać młodzieńców, opowiedzieć im o swych zamysłach i poprosić, aby im towarzystwa w podróży dotrzymali. Pampinea, krewniaczka jednego z nich, podniosła się, zbliżyła się do nich, spoglądających na nie z daleka, z uśmiechem ich powitała, opowiedziała, w czym rzecz, i w imieniu wszystkich dam poprosiła, aby się zgodzili szczerze i po bratersku do ich kompanii przystać. Z początku młodzi ludzie pomyśleli, że damy z nich żartują, ale potem przekonawszy się, że wysłanniczka poważnie mówi, odparli wesoło, że zaproszenie ochotnie przyjmują. Bez zwłoki umówiono się o wszystko, w co należało się opatrzyć wyruszając w drogę.

Przygotowawszy wszystko jak należy, posłali uwiadomienie do tego miejsca, gdzie się udać zamierzali. Następnego dnia, w śród rano, skoro świt, damy w otoczeniu służebnic swoich, a młodzieńcy pospołu z sługami opuścili miasto i wyruszyli w drogę. Przeszedłszy ze dwie mile, dosięgli umówionego miejsca. Leżało ono na niewielkiej górze, oddalonej od dróg i ścieżek, pokryte różnymi krzewami i roślinami, że miło spojrzeć było na gąszcz zielonych pędów. Na szczycie góry stał dom z obszernym dziedzińcem pośrodku; wspaniałe komnaty, sale i krużganki tego domu malowidłami upiększone były. Wokół ciągnęły się pola i sady, widać było studnie pełne przezroczej wody i piwnice opatrzone w wina najwyborniejsze, które by lepiej znawcy niżli skromne białogłowy ocenić umieli. Przybysze z wielkim zadowoleniem znaleźli wszystko gotowe na ich przyjęcie. Komnaty były ochłodzone i przystrojone, łoża pokryte świeżą pościelą; wszędzie rozstawiono świeże kwiaty, jakie w tej porze roku naleźć można było.

Gdy po przybyciu na miejsce wszyscy usiedli, aby wczasu<sup>43</sup> zażyć, wesoły i krotochwilny Dioneo rzekł do dam:

— Raczej wasz zmysł zdrowy i wasza przezorność niżli nasza wola nas tutaj przywiodły. Nie wiem, coście w myślach swoich uczynić postanowiły, co się jednak tyczy moich, to ostawiłem je za bramą miasta, gdym co dopiero koło niej przechodził. Jeżeli pragniecie śpiewać i weselić się pospołu ze mną, zapraszam was do tego, zachowując wszelkie względy waszej przystojności należne, jeżeli zaś nie, pozwólcie mi wracać z powrotem do moich myśli i do nieszczęsnego miasta.

<sup>41</sup>krotochwilny — tu: skłonny do żartów, obdarzony poczuciem humoru. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>nie lza (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

Pampinea, która widać również wszelkich trosk swoich się pozbyła, odpowiedziała wesoło:

— Dioneo dobrze mówi. Będziemy żyły wesoło, po to bowiem z miejsca smutku uszliśmy. Ponieważ jednak rzeczy bez ustanowionego porządku długo trwać nie mogą, ja więc, która pierwszą pobudkę do rozmów w naszym towarzystwie dałam, zalecam, gwoli<sup>44</sup> zachowania wesołości naszej, abysmy spośród siebie jakiegoś przodownika wybrali. Wszyscy go będą słuchali i w wielkim go mieli zachowaniu, on zaś<sup>45</sup> starać się będzie o to, aby nam czas miło upływał. Aby zaś każdy z nas troski i słodycz powszechnego uważania jednako poczuł i aby przyczyn do zawiści nie było, mniemam, że dobrze by było, gdyby ciężar ten i zaszczyt co dzień komu innemu przypadał. Pierwszego wybierzemy powszechną głosów elekcją, a ów władca wieczorem tegoż dnia następcę swego mianuje. Wybrany w czasie swego panowania będzie miał możliwość ustanowić do woli, jak i gdzie dzień spędzić mamy.

Mowę tę powszechny aplauz spotkał i natychmiast jednogłośnie Pampinę królową pierwszego dnia obwołano. Filomena, która słyszała wielokroć o czci, jaką wawrzynowe wyrażają liście, pobiegła duchem do laurowego krzewu, zerwała kilka gałązek, spłótła z nich piękny wieniec i włożyła go na głowę Pampinei. Od tych pór wieniec laurowy, póki trwały te zebrania, stał się u nich starszeństwa oznaką.

Pampinea, która królową się stała, rozkazała przywołać trzech sług młodych ludzi i cztery służebnice dam i gdy wszyscy srogie milczenie zachowywali, na ten kształt mówić ją<sup>46</sup>:

— Chcę wam wszystkim dobrym przykładem służyć, jak należy dbać o nasz związek, tak aby coraz lepszym się stając, mógł się utrzymać długo w porządku i wesołości, bez obrazy przystojności i naszej dobrej sławy, i dlatego mianuję sługę Dionea, Parmena, marszałkiem moim, nakładając nań obowiązek pieczy nad kuchnią i domem. Sługa Panfila, Sirisco, zostanie skarbnikiem i rachmistrzem. Tiridaro niechaj służy wszystkim trzem kawalerom, wyręczając Parmena i Siriska, którym nowy urząd tego już czynić nie pozwoli. Moja pokojowa, Misia, i służebnica Filomeny, Licisca, będą w kuchni przyprawiły potrawy wedle Parmena rozkazu. Chimera i Stratilia, służebnice Lauretty i Fiammetty, będą obsługiwały w komnatach naszych dam i utrzymywały w czystości miejsca zebrań naszych. Każdemu zaś wiadomym czynię, jeśli łask naszych utracić nie chce, że wzbrania mu się surowie złych wieści przynosić, co bądź i gdziekolwiek by usłyszał.

Wydawszy te rozkazania, ochotnie przez wszystkich przyjęte, królowa wstała i rzekła wesoło:

— Wabią nas okoliczne ogrody, świeże łąki i inne przyjemne miejsca, niechaj zatem każdy uda się tam, gdzie chce. O trzeciej<sup>47</sup> znów się zejdziemy i będziemy pożywali obiad w chłodzie.

Wesołe towarzystwo dam i kawalerów za pozwoleniem królowej udało się tedy<sup>48</sup> do sadu. Poczęto przechadzać się po ogrodzie, wesołą rozmową się bawiąc, równianki kwiatów wiążąc i pieśni miłosne nucąc.

Gdy nadszedł czas oznaczony, wszyscy powrócili do domu i przekonali się, jak gorliwie Parmeno z obowiązków nań nałożonych się wywiązywał. Wszedłszy do jadalni ujrzeli stoły zasłane śnieżnobiałymi obrusami i srebrnymi — zdało się — naczyniami zastawionymi oraz kwiatami janowca przybrane. Królowa rozkazała podać wody do rąk obmycia; za czym wszyscy zajęli miejsca, ukazane im przez Parmena. Przyniesiono smakowite potrawy i wyborne wina; trzech pokojowców obsługiwało do stołu. Wszystko tak znakomicie przygotowane było, że towarzystwo, pełne ukontentowania, żartując i śmiejąc się, z wielką ochotą jadło. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, królowa kazała muzyczne instrumenty przynieść. Niektórzy z młodzieńców (jako i z dam niektóre) pięknie śpiewali i grali, co się zaś tyczy tańców, to pisać wszyscy umieli. Dioneo chwycił lutnię, Fiammetta wzięła wiołę i oboje do tańca zagrali. Królowa służbę na obiad odesłała, a potem

<sup>44</sup>gwoli (daw.) — dla; w celu. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>zasię (daw.) — zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>jąć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>o trzeciej — wg rzymskiej miary czasu liczono czas od poranka, godzina trzecia wypadła więc przed południem. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

z pozostałymi damami i dwoma kawalerami taniec kołowy powolnym krokiem zawiodła. Później wesołe i powabne piosenki śpiewać jęli. Na takich uciechach czas trawili, aż wreszcie królowa dała znak, że już pora na spoczynek. Wszyscy do swoich komnat się rozeszli. Młodzieńcy zastali w swoich pokojach łoża w puchy opatrzone i mnóstwo kwiatów. Damy także do komnat swoich odeszły i rozdziawszy się, wczasu<sup>49</sup> zażywać jęły<sup>50</sup>.

Gdy dziewiąta godzina nadeszła, królowa powstała, obudziła damy i kawalerów, twierdząc, że zbyt długi sen w ciągu dnia zdrowiu szkodzi. Towarzystwo udało się na łąkę, wysoką i świeżą trawą porosłą i od słońca oslonioną. Tutaj w chłodzie lekkiego wietrzyka wszyscy wkoło na trawie zasiedli, jak przykazała królowa, a wówczas ona z taką mową się do nich obróciła:

— Widzicie, że słońce jeszcze na niebie wysoko i że żar jest dokuczliwy wielce; nic wokół nie słychać krom<sup>51</sup> cykania świerszczy na oliwkach. Nierozsądną rzeczą by było teraz na przechadzkę się wybierać. Tutaj uroczo jest i chłodno! Oto szachy i szachownice, niech każdy upodobaniu swemu zadosyć uczyni. Jeśli jednak posłuchać mnie zechcecie, lepiej będzie grę tę ostawić. Przy grze zawsze jedna strona w nieukontentowanie popada, które przyjemności przecie ani przeciwnikowi, ani przyglądającym się sprawić nie może. Gdy się jednak historii opowiada, wszyscy chętnie słuchają i skwarny czas dnia szybko przechodzi. Nie zdążymy nawet wszyscy po jednej noweli opowiedzieć, gdy słońce ku zachodowi się schyli. Wówczas pójdziemy, gdzie chęć będziemy mieli. Nie niewolę nikogo i gotowa jestem ogólnemu życzeniu się nie sprzeciwiać, jeśli jednak moje ułożenie wam się podoba, to zaraz je w czyn wcielmy, w przeciwnym razie niech każdy do wieczora czyni to, na co ma ochotę.

Damy i młodzieńcy oświadczyli się wszyscy za opowiadaniem.

— Skoro tak — rzekła królowa — to niechaj w tym pierwszym dniu każdy, jaką chce, materię do opowieści wybierze.

Później, obróciwszy się łaskawie do Panfila, siedzącego obok niej po prawej ręce, kazała mu, aby swoją powiastką innym dał początek. Panfilo, słowom królowej posłuszny, zaczął swoją opowieść wśród natężonej wszystkich przytomnych<sup>52</sup> uwagi.

Gra, Zabawa, Przyjemność

<sup>49</sup>wczas (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>przytomni (daw.) — obecni (przy czymś), zebrani. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dekameron-prolog>

Tekst opracowany na podstawie: Giovanni Boccaccio, Dekameron, tłum. Edward Boyé, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1975.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Aleksandrę Sekułę.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska, Paulina Oltusek.

Publikację wsparli i wsparły: [www.EnlitED.pl](http://www.EnlitED.pl), Jarek Frączek, Tomasz Ż., zielu145, Grateful, Anna, Krawczykowie, Jan Marcinkiewicz, Łukasz Marek, AL, yav, Michał Torbiński, Walentynaz, MrT, Paweł Szymczak, Elżbieta, stefanon, Mikado, Matt Stachowiak, DeeJay1, Jan Wójcikiewicz, Anna J., anonim, severian, tytus wronka, Agata, majkey, Bartosz Stangiewicz, DR, Monika Morawska, Kacper, Patryk Szczepański, Patrycja Frąk, WikiRadio.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.